

JA? (czyli kto?)

Ja, to znaczy kto? Czy Ja to jest moja cielesność? A jeśli mi zoperują wyrostek robaczkowy, pęcherzyk żółciowy, prostatę itd., czy to nadal będę Ja? Wstawią mi soczewki, zaimplantują kolano, to kim Ja będę?

A jeśli mi jeszcze wstawią dwie sztuczne szczęki? A co będzie, jeśli dokonany zostanie na mnie zabieg *somatectomia totalis* (jak to kiedyś opisał profesor Tadeusz Bilikiewicz), czyli totalnego pozbawienia mnie cielesności poza mózgiem, bo do tego sprowadzać się ma niepowtarzalność człowieka – czy to nadal będę Ja?

Czy jeśli do końca okupacji mieszkam pod Warszawą, prowadząc beztraskie życie, a potem byłem świadkiem ulicznej egzekucji i dobijania rannych kolbami karabinów lub strzałem z pistoletu, i widok ten przesładuje mnie nieustannie, kiedy mowa jest o wojnie gdziekolwiek i nie tylko wtedy – czy to już są dwie różne osobowości?

Czy to beztraskie Ja i to obciążone przeraźliwym przeżyciem pozwala jeszcze mówić o spójności mojego Ja? Może jest to Ja rozszczepione tak, że na dobrą sprawę są dwa Ja?

Teraz nazywam się na przykład Artur Gołąb, ale jeśli pojedę za pracą za granicę i warunkiem pozostania tam będzie zmiana imienia i nazwiska, a ja to uczynię, to czy nadal Ja to będę Ja? Teraz mam określoną twarz, po której ludzie mnie rozpoznają, a jeśli po kilkudziesięciu latach będzie ona radykalnie zmieniona i będę po wyglądzie twarzy niepodobny do swojego pierwotnego wyglądu, to czy nadal Ja, to będę Ja? Czy to koniec wątpliwości? Czy byłbym sobą, gdybym ich nie miał? Byłem, dajmy na to, mahometaninem i dokonałem konwersji na jakąś odmianę protestantyzmu, czyli stałem się protestantem. Czy można będzie o mnie mówić: to ten sam człowiek? W międzyczasie z osoby o poglądach niezmiennych stałem się sceptykiem, totalnym. Czy to ta sama osoba? A jeśli w odstępie kilku lat zdobywałem kolejne stopnie i tytuły naukowe, stając się chodzącym autorytetem, to czy Ja, magister, którym kiedyś byłem, w porównaniu z, o niebo bardziej wykształconym, profesorem zwyczajnym, doktorem *honoris causa*, a więc kimś innym, to jednak ktoś inny? Czyżbym się mylił? Czy to już koniec wątpliwości sceptyka?

Czy to prawda, że małżeństwo zmienia ludzi? Więc jeśli byłem ongiś zatwardziałym kawalerem, a teraz jestem od jakiegoś czasu żonaty, to czy ktoś mnie przekona, że jestem tym samym Ja co przedtem?

I czy to prawda, że nieustannie pytając, niczego nie twierdzę?!

Ponadto od kilku lat jestem odludkiem, który stroni od ludzi, podczas gdy uprzednio byłem nader towarzyski, niekiedy duszą towarzystwa. Czyliż to nie dowód, że nastąpiła zmiana mojej osobowości i już nie można o mnie powiedzieć: to ten sam człowiek?

Wreszcie, czy na My składa się również moje Ja? Czy owo Ja roztopia się w My i czy inne Ja, tym samym „wygładzając kandy”, niejako rezygnując z części Ja, które nie mieści się w pojęciu My? Zapytajmy, czy moja łysina wchodzi do kategorii My, czy może jest to zbędny balast? W końcu, czy My to nie zbiorowisko poszczególnych Ja, czyli Ty? Ale czy wówczas każde Ty nie byłoby tożsame z innym Ty, czy więc podział ten ma w ogóle sens, skoro każde Ty byłoby tożsame z innym składającym się na My? I czy nie będzie to zasadnicze pytanie: kto, ewentualnie co, to jest Ty? Czy bez Ty inne Ty, czyli Ja, jest możliwe do autoidentyfikacji? Czy rozpoznanie Ty, to tyle co nie-Ja, nie-My, nie-Świat? Czy Ty może kiedykolwiek i gdziekolwiek istnieć samodzielnie, to znaczy inaczej niż z My, to znaczy z ludźmi żyjącymi zawsze ze sobą? Czy więc Ty jest konieczne dla Ja? Czy Ty – to rzeczywiście inne Ja, tyle że z punktu widzenia tego Ty? Czy też może Ty jest tylko wyróżnieniem ze świata bezosobowego? Czy Ty jest rezultatem stosunku wzajemnego świata bezosobowego i Ja? Czym Ty różni się od świata bezosobowego i od Ja? Czy Ty to ten, do którego się zwracamy? Czyż nie każdy jest potencjalnym Ty, tak jak każde Ty jest, przynajmniej w jakiejś części, składnikiem świata bezosobowego, urzeczowionego?

Czy ktokolwiek rezygnuje dobrowolnie, czy nawet pod groźbą i przymusem, ze swojego Ja, różnego od innych, czyli z odróżnienia od Ty? Czy więc identyfikacja z innym Ty w ramach My jest totalna? Czy może oznaczałoby to, że tylko część Ty, ściślej jedynie częśćka przekonań czy ideałów, marzeń czy dążeń, ocen czy wartości, wreszcie postawy, byłaby zbieżna czy identyczna z innym Ty, w obrębie My? Czy ta pozostała reszta daje wystarczające podstawy do odróżnienia Ja, i to zarówno od My, jak i od Ty? Ale jaka reszta? I czy cała? Czyż My nie może być wieloaspektowe, czy nie są to kręgi, które się zakresowo nie wykluczają? Czy nie wchodzi w skład takich My, pod którą to nazwą kryją się różne pojęcia? Czy więc na przykład z jednej strony My – to nie ludzie w odróżnieniu od zwierząt, czy My to jednocześnie także nie ludzie określający się mianem współwyznawców jednej idei, na przykład politycznej czy religijnej, szkoły (na przykład filmowej), czyż My – to nie ludzie pióra, ojcowie, przywódcy, pracownicy itd., itp.? Ile jest w Ty i Ja części, które wchodzi w skład różnych My, z którymi się identyfikujemy sami, albo do których nas przypisują inni, inni z innych My, nie pytając nas wcale o zdanie? Ale czy wolno innym Ty włączać mnie do jakiegoś My, nie pytając mnie w ogóle o zdanie? Ale, niejako wbrew sobie, czy nie jestem właśnie na tej zasadzie elementem składowym jakiegoś My, na przykład My-mężczyźni czy My-filozofowie, ale nie żebym kwestionował przynależność do zbioru My-mężczyźni? Co właściwie stanowi kryterium przynależności Ja i Ty do My? Czy wykształcenie? Iluż to jest filozofów z dyplomami ukończenia odpowiednich studiów, którzy nie zhańbili się choćby jedną publikacją? Wreszcie, czy formalna przynależność do związku hodowców motyli czterokopytnych – przy uwzględnieniu faktu, że nikt nigdy nie widział takiego stworzenia – pozwala mówić: My-hodowcy tegoż motyla? Czy to znaczy, że przynależność formalna, quasi-objektywna, potwierdzona niekiedy cenzurem i wieloma, wieloma pieczętkami nie pozwala (zgodnie z prawdą) mówić My? Ale czy własny, subiektywny osąd może się w tym przypadku okazać decydujący i wystarczający?

Czy zawsze identyfikacja z grupą innych stanowiących jakiegoś My – musi zostać przez nich uznana? Czyż My musi zaakceptować akces Ty do My? I jeszcze jedno: kiedy ludzie się wahają przed wyrażeniem swojego akcesu do jakiegoś My, czy nie mamy wówczas do czynienia z sympatykami grup formalnych? Aliści czy grupa nieformalna sympatyków już stanowi jakiegoś My? Czy zawsze tak jest? Emocjonalnie zaangażowani sympatycy jakiegoś klubu, na przykład sportowego, integrują się pozornie szybko, dając o sobie znać psychiczną reakcją tłumy w czasie imprezy, ale czy stanowią oni już owo My, o którym mówimy? I czy rozrzczeni po świecie wielbiciel jakiejś gwiazdy, na przykład filmowej, stanowią także jednoznaczne My?

Wreszcie, jeśli się okazuje, że jedynie cząstka Ty i Ja wchodzi w zakres pojęcia My, to czy mogą w tym przypadku występować różne gradacje samego My? Czyżby stopień zaangażowania się był bez znaczenia? Na przykład jak różna siła autoidentyfikacji z innymi Ty składałaby się na My? Czyż nie jest zupełnie inne My, u którego podłoża leżą czynniki emocjonalne, a inne My, za którym przemawiają mocne argumenty (na przykład logiczne czy materialne), a jeszcze inne My, za którymi nie przemawiają żadne racjonalne argumenty, i wreszcie zupełnie inne My, którym nas zidentyfikowano, w odróżnieniu od My, z którym się sami identyfikujemy? Ponadto, czy nasz stopień identyfikacji i partycypacji w i z My nie jest przypadkiem uzależniony od wielu, ale to bardzo wielu różnorodnych czynników, często od nas niezależnych, na przykład od pogody (My-plażowicze, My-meteoropaci itp.), od czasu (My-młodzież, My-sklerotyicy) itd., itp.

Czy to już koniec pytań? Skoro istnieje tyle płaszczyzn i wątpliwości, zapytajmy jeszcze: kto lub co pozwala nam, czy komuś, w ogóle mówić My, skoro owo My jest aż tak wewnętrznie zróżnicowane? Czy sam fakt, na przykład świadomego opowiedzenia się za jakąś wartością (w różnym zresztą stopniu, z różnym zaangażowaniem się poszczególnych Ty, z niejednorodną motywacją – a więc z tym wszystkim, co dla Ja jest istotne i od czego My właśnie abstrahuje) pozwala mi lub jakiemuś Ty mówić My, uznając jednostkowe modyfikacje za niemające znaczenia?

A może to My jest tylko jakąś platońską ideą, hipostazą? Czy każde Ty jest w rzeczywistości podzielone na poszczególne części, składające się na rozmaite przecież My? Czy w związku z tym prawomocne jest stwierdzenie, że Ty równa się sumie wszystkich My, w których owo Ty uczestniczy, partycypuje? A może jest odwrotnie, to znaczy My największe z możliwych – to całość kształt całego Ty i wszystkich Ty? A może prawda leży pośrodku? A może to wszystko nieprawda?

Z drugiej strony, czy formalny i świadomy akces do jakiegoś My nie zawiera w sobie konieczności podjęcia ryzyka rezygnacji z części Ja każdego Ty właśnie po to, by móc powiedzieć: My?! I czy My, zwłaszcza zinstytucjonalizowane i sformalizowane, nie musi wkalkulować ryzyka, że przyjęte w skład My Ty może nie w pełni i nie we wszystkim akceptować to, co decyduje o tym, że możemy o tej grupie ludzi powiedzieć My? Czy więc ryzyko nie jest dwustronne? I czy owo My dzięki temu właśnie nie jest bezwładne, inercyjne, nie jest bezwolne – lecz dynamiczne i twórcze? Czyż tedy siła My nie tkwi czasem w nieidentyczności jej składowych Ty?

Rozważmy jeszcze jedno: jeśli mówimy „My się nie zgadzamy”, to czy to znaczy, że jednak coś nas łączy, skoro mówimy My? Czy z tego logicznie wynika, że My opiera się tedy także na tym, co nas dzieli? Czy zjednoczenie wielu Ty w jednym My, na podstawie uznania wspólnego celu nie wyklucza i czy wręcz nie zakłada istnienia rozbieżności w innych kwestiach? A jeśli jest to zjednoczenie wokół większej liczby celów, wartości itd., to czy My jest bardziej zwarte od My opartego na jednym wspólnym pierwiastku? I czy każde Ty nie powinno tedy szukać jak najwięcej takich pierwiastków, które pozwoliłyby wzmocnić się przez partycypację w różnych My? I jeśli zakładamy, że tak jest, zapewne nie przekreśla to odrębności Ty, a wręcz przeciwnie, sprzyja zapewne rozwojowi, daje kościec, oparcie, siłę i podstawę dla własnej oryginalności, do odrębności tych pierwiastków Ty, które w skład My nie wchodzi i dzięki którym Ty w ogóle jest wyróżnione z My? I czy dlatego właśnie My nie znosi formalnie tylko indywidualnych wahań każdego Ty, zawierając je niejako, ale nie przekreślając?

Czy oznaczać by to miało, że My musi być faktycznie niespójne? A jeśli My musi być dialektyczne, to znaczy wewnętrznie sprzeczne, to ponownie rodzą się pytania w rodzaju: jaki stopień niespójności i w jakim zakresie pozwala używać zaimka My, a jaki już (albo aż) tylko Ty, wreszcie jakie są kryteria tej spójności itd.?

Pewne pytania powracają niczym bumerang, na przykład: czy faktycznie zupełnie wszystkie My, w których partycypuje moje Ja, to rzeczywiście ciągle jeszcze Ja (czyli Ty dla innego Ja), czy też pozostaje jakaś reszta niewchodząca w skład żadnego My??? Ale ta wątpliwość jest nierozłączna z inną jeszcze: czy istnieje takie Ty (ewentualnie Ja), które mogłoby nie być w jakimkolwiek My?

Wraca także, teraz już w zmodyfikowanej postaci, pierwsze pytanie: czy na My składa się wielość Ty, to znaczy zróżnicowanych wewnętrznie i zewnętrznie poszczególnych Ja?

Czy to już koniec pytań i problemów, z których każdy mógłby być tematem oddzielnego artykułiku, jeśli nie rozprawy naukowej?

Czy do podobnego „opracowania” nie pozostały problemy relacji „innego”? I żeby w tych wywodach zawarte było choć jedno wyeksplikowane twierdzenie, odpowiem: nie, to nie koniec.



Jagoda Pajdas-Siwanowicz